

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie K. 37·40! Półrocznie K. 74·80. Rocznie K. 149·60.

Zmiana adresu 1 koronę.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 2 kor., na miejscu specyalnie zastrzeżonem kor. 2·80, za wiersz nonpareilowy jednoszpalto y 4 kor., za wiersz petitowy w części redakcyjnej 10 kor.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).

Telefon Nr. 479.

Naczelny redaktor: Wincenty Korolewicz.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Legionów 21.

Wyłączne zastępstwo na Warszawę i Królestwo Polskie: **Zygmunt Bereda, Warszawa, Marszałkowska 119. Łódź, Piotrkowska 62.**

Numer pojedynczy 3 korony.

Rok XVII. Kraków, 17. stycznia 1920. Nr. 3.

Bunt marynarzy amerykańskich.



W sprawie naszej Wielkiej Szarady Konkursowej

Na liczne zapytania P. T. Czytelników donosimy, że w najbliższym już czasie ogłosimy, jak w latach poprzednich, **Wielką Szaradę Konkursową**, z nagrodami **w gotówce i arcydziełach** współczesnych Autorów.

Pierwsza nagroda 1.000 (tysiąc) Kor. w gotówce.

Warunki ubiegania się o nagrody podane będą z **Szaradą** w jednym z najbliższych numerów naszego pisma.

Szarady Konkursowe „Nowości illustrowanych“ zyskały sobie już uznanie w szerokich kołach P. T. Czytelników, czego dowodem zwiększająca się z roku na rok liczba nadsyłanych trafnych rozwiązań.

Prawo ubiegania się o nagrody przysługuje **tylko P. T. Prenumeratorom** „Nowości illustrowanych“.

Bunt marynarzy amerykańskich.

Skoro pożar obejmie dom, wtedy często iskry przerzucają się i na koniec miasta przeciwny, co jednak nie dowodzi, aby i tam ogień wdarł się, tak i tutaj. Bolszewizm przerzuca swoje iskry do Ameryki, zwłaszcza, że znajduje tam doskonały podkład rozpłodowy.

Że z faktem tym należy się liczyć poważnie świadczy o tem wypadek jaki niedawno spotkał członków delegacyi amerykańskiej na konferencyę pokojową w czasie ich powrotnej drogi do ojczyzny. Część załogi okrętu „America“, którym delegacya powracała z Europy, zbolszewizowana, zbuntowała się. Już wcześniej kilka wypadków niesubordynacyi wśród marynarzy wskazywało, że wśród załogi rozpoczyna się niezdrowy ferment. Wreszcie zawiadomiono komendanta statku, że znaczna liczba marynarzy jest uzbrojoną w rewolwery automatyczne, wskutek czego oficerowie w pełnem uzbrojeniu zeszli do kajut marynarzy, gdzie przeprowadzili szczegółową rewizyę, która okazała, że marynarze mieli znaczną ilość ukrytej broni, zapewne zrabowaną żołnierzom amerykańskim podczas poprzednich podróży.

Sytuacya poczęła stawać się poważną wobec namacalnych dowodów projektowanego buntu.

Gdy okręt zarzucił kotwicę w Brest, zachowanie się załogi skłoniło kapitana Ford do wydania rozkazu pozostania wojska na pokładzie, co wywołało wśród marynarzy niesłychane oburzenie i było hasłem buntu. Marynarze rzucili się, by dostać się na ląd, zaś oficerowie z podniesionymi rewolwerami musieli stoczyć formalną walkę, która skończyła się zranieniem kilku majtków. Wtedy palacze z kotłów usiłowali zagasić ogień w piecach, oraz przerwać prąd elektryczny, aby w ten sposób zbuntowanym marynarzom w ciemności nocy ułatwić ucieczkę na ląd. Na żądanie dowódcy okrętu przyszedł oddział zbrojnych żołnierzy z lądu i wkroczył na pokład.

W ten sposób rozbrojono zbuntowanych majtków z których jedenastu postawiono przed sąd wojenny, a sześciu na miejscu rozstrzelano. Śledztwo stwierdziło, że załoga była w porozumieniu z organizacyą anarchistyczno-komunistyczną „Industrial Workers of The World“.

My, a Czesi.

Stosunek nasz do Czech odrazu postawiony na ostrzu miecza, w tem stadyum pozostaje i pewnie inny nie będzie, bo troskliwie wykreśla go i podkreśla rozbieżność naszej polityki. Małe państewko czeskie, obdarzone szóstym zmysłem zachłanności zaborczej, nie chce się pogodzić z tą myślą, że gdzieś po bożym świecie może się błąkać choć się na wszystkie strony i daje ugniatać i formować, jak kto zagra, jak zresztą zawsze etyka jest bardzo płynną. A Czesi grają i grają na swoich skrzypeczkach i zdaje im się ustawicznie, że grają, gdy muzyka ich, to najzwyklejsze rzępolenie. Stąd, też w chwilach gorących — takie n. p. paskarstwo ministrów — stosują metodę wielce praktyczną, szepcąc w ucho miłe słowa. „Omyliłem się troszeczkę, obróć jeszcze tę karteczkę“, a znajdziesz



My, a Czesi: Pogrzeb żołnierza z armii ukraińskiej tworzonej przez Czechów w Deutsch-Gabel.

kruszyna sprawiedliwości. W tym też celu konsekwentnie zresztą zupełnie bajdurzy ustawicznie o swoiem kolosalnie wysokiem pojęciu etyki, nawet w zakresie kwestyi politycznych. Pomijając to, że w polityce etyki nie ma, trzeba pamiętać, że Czechy za czasów austryackich — i to nie bardzo — a dziś to niebo, a ziemia, że też i dużo wypadków przewaliło się przed forum Europy i że etyka tworzącego się państwa pod lada dmuchnięciem kłania czeski ideał i czeską etykę polityczną. A rozgranicza się ona w ramach okładzinki książkowej, w której na każdej stronicy powyższą maksymę umieszczają. Treścią tej okładzinki jest batog, albo wrazie potrzeby — mówi się wtedy o żelaznej potrzebie politycznej — pięść, którą poganiają koalicyjną trzódkę, a ta niejednokrotnie uszy opuszcza i słucha — bo czeskie skrzypki grają symfonię ogromnie popularną: umiejętnej gry przeciwko nam,



My, a Czesi: Oficerowie i żołnierze z armii ukraińskiej tworzonej przez Czechów.



My, a Czesi: Kompania z oficerami z armii ukraińskiej w Deutsch-Gabel.



My, a Czesi : Kompani: z armii ukraińskiej w Deutsch-Gabel.



My, a Czesi : Orkiestra w armii ukraińskiej tworzonej przez Czechów.

nie zastanawiając się wcale, że jest to gra obosieczna.

Konieczna gra powiadają. Nikt temu nie przeczy. Utworzenie potężnego państwa polskiego tuż obok, o wspaniałej przyszłości rywalizacyjnej przeraziło Anglię, a cóż dopiero czeski kraiczek. Stąd też ręka w rękę kumają się z wszelkiego rodzaju kupczykami i szalbiercami, stwarzając sobie teren operacyjny przeciwko nam zlokalizowany u podnóża Karpat, poprzez zagrodzoną Słowaczyznę; wyciągają ręce, aż kości w stawach trzeszczą najdalej na wschód, byle tylko byle... Właśnie o to idzie, o to jedno „byle“, ale tu sprawa nie tak łatwa. Armia polska idąc zwycięskim pochodem coraz dalej w głąb Rosyi wskazuje, że Czechy nie będą dla niej odgrywały roli straszaka, choćby ze skrzypcami w rękach. A jednak nie tracą nadziei i dokładają wszelkich starań, aby w wielkim akcie reakcyi przeciwko Polsce zyskać dla siebie najwydatniejszą pozycyę, nie licząc się z tem wcale, że po zsumowaniu wszystkich wartości łatwo można znaleźć deficyt. Gromadzą jednak kolumny cyfr coraz skwapliwiej i w tym celu wzięli się wreszcie do organizacyi wojsk ukraińskich w swoim kraju przeciwko... bolszewikom (odwróć karteczkę, a będzie co innego). Wojska ukraińsko czeskiej fabrykaty, skierowywane przeciwko nam, miały wywieszać na swoim sztandarze to samo hasło, jakie wymalował na swoim gen. Tarnawski, gdy przechodził do bolszewików via Denikin. Uderza tu charakterystyczny fakt, że wojska tworzyli Czesi wtedy, gdy myśmy nawiązywali rokowania z Denikinem i gdy jego gwiazda poczęła blednąć, a nawet gasnąć. Cel więc przez to określało się jasno bez żadnych dwóch kwestyi, że nie myślano tu wcale o jakiejś pomocy w akcyii koalicyi przeciwko sowietom, ale jedynie o własny interes, czy znowu o załagodzenie „żelaznej potrzeby“.

Wogóle potrzeb Czesi mają bardzo dużo, a najwięcej uczciwości, jak o tem świadczy namacalnie powyżej wspomniany fakt, który będąc małym epizodem w swej istocie, nie może być jednak lekceważony. Musi się pamiętać, że jest to polityka psa wyszczerzającego zęby z poza parkaniku, który jednak w swym psim rozumie kalkuluje dobrze, że w chwili stosownej przeskoczyć parkan nie będzie trudno, a właściwie zwyczajny płot. Stąd też i w tem są Czesi zupełnie szczerymi, dokładają wszelkich starań, aby na ruinach sowietów powstała silna Rosya, której można będzie podać ręce obie, silnie chwycić, utwierdzić w nogach, pchać i pchać, a wreszcie zepchnąć Polskę do minimum objętości, choć to przecie śmieszne.

Ale niełatwa tu medytacya. Aby się chwycić rąk przyszłego carstwa rosyjskiego, trzeba zdobyć Śląsk Cieszyński, aby nie było przerwy. I tu skupia się teraz cała uwaga czeska i praży się mózg, aby akcyę plebiscytową zdławić. Trudno mówić o łotrostwach i oszustwach, jakich się Czesi dopuszczają na naszej ziemi (oczywiście odgrodziwszy się od koalicyi statecznym murem swojej uczciwości, błyszczącej szkiełkami bańki mydlanej), musi się jednak wytężyć wszystkie wysiłki, aby szkodliwe czeskie dążenie zdyskredytowania naszej opinii na Śląsku Cieszyńskim unicestwić, zwłaszcza, że najczęściej akcya ta ma w sobie pozornie wszelkie dane poważnych faktów w politycznych.

Ten cel miała także wiadomość, rozpuszczona w dziennikach czeskich, zaoferowana, jak zwykle ze źródeł bardzo kompetentnych, o rzekomej, mającej nastąpić drugiej konferencyi paryskiej, która ma Śląsk Cieszyński oddać bez plebiscytu Czechom, co więcej ma się to stać ze zgodą Polski, która ma za to otrzymać rekompensatę od strony wschodniej. Oczywiście, że niema w tem ani krzty prawdy, a jednak to silny argument, obliczony na zniechęcenie ludności śląskiej, który może nam poważnie zaszkodzić. A dziś każde uchybienie musi się spotkać z energicznym protestem, bo i najmniejsze ma w sobie truciznę jadowitego węża.

Czyżby narodziny polskiej rzeźby?



Czyżby narodziny polskiej rzeźby? : W. Durka: Chrystus na krzyżu.

Nic tak nie świadczy o żywotności polskiej sztuki jak lata wojny. Nasi artyści, przeważnie w szarych mundurach „Piłsudczyków“, ani na chwilę nie wypuścili z ręki ołówka, pędzla i dłuta. „Wystawa Legionów“, urządzona w Krakowie i Warszawie, była tego najlepszym dowodem. Obfity jej plon mógł nawet w niejednym budzić podejrzenie, iż tylko nerwowe napięcie historycznego momentu było jego pobudką i drożdżem. Tymczasem rzeczywistość mówi co innego. Podniecenie wojenne, jakkolwiek Bellona, nie schowała jeszcze miecza, ustało naogół, a mimo to artystyczna produkcya naszych plastyków bynajmniej nie zmalała. Tematem ich dzieł przestały już być ułańskie szarże i rowy strze-



My, a Czesi: Oficerowie z armii ukraińskiej tworzonej przez Czechów.



My, a Czesi : Ukraińska służba kuchenna w Deutsch-Gabel.

leckie; poruszona hukiem dział fala powoli opada, fantazya oplata ruiny i po dawnemu snuje obrazy pogodne i słoneczne.

Takie wrażenie odnosi widz z obecnej wystawy Tow. przyj. szt. pięknych. Obrazy Aneń, może zbyt



Czyżby narodziny polskiej rzeźby? W. Durka. Fragment grobowca.

„hiszpańskie“, kilkadziesiąt płócien Mieczysława Filipkiewicza, „Swięta Rodzina“ Klimowskiego, bardzo wykwintna w kolorze, wyborne „Wnętrze“ i „Wschód słońca“ K. Homolacsa, impresye Turka, portret mężczyzny Waśkowskiego, wszystkie one noszą na sobie cechy wytrawnego rozmysłu i głębokiego odczucia, na które bez wewnętrznego roz pogodzenia się żaden artysta zdobyć by się nie mógł.

Nierównie radośniejsze myśli budzi rzeźba. Reprezentują ją na obecnej wystawie dwaj młodzi, poszukiwani już zagranicą artyści: pp. Jan Małeta i Wojciech Durek. Pierwszy dał wyborne popiersie generała Józefa Hallera, małą rozmiarami, ale pełną wielkiej finezyi grupę dwu cierrotów, oraz — może nazbyt po literacku pomyślaną — kompozycyę „Doktora“, przecinającego powróz, na którym wlecze swe ofiary śmierć, jadąca na apokaliptycznym smoku. P. Wojciech Durek wystawił dziewięć prac: trzy portrety pełne wyrazu i gry psychicznej, dwie płaskorzeźby (*haut relief*) „Drogę przeznaczenia“ i „Chrystusa na krzyżu“, a nadto trzy rzeźby okrągłe: „Madonnę“, „Pocałunek ziemi“ i „Fragment



Czyżby narodziny polskiej rzeźby? W. Durka: Droga do przeznaczenia.

grobowca“. Ze wszystkich tych prac wyziera urodzony plastyk o niezwykle świeżem ujęciu tematu, żywem uczuciu i bujnej, lecz warunkami rzeźby hamowanej fantazyi. W każdej przebija się ogromna łatwość koncepcyi i dążenie do kompozycyi to jest do tego, czego w dotychczasowej rzeźbie polskiej prawie że nie widzieliśmy. A zaprawdę czas już, aby prócz poprawnie wykonanych portretów i drobnych, galanteryjnych „kawałków“, zaczęła polska rzeźba myśleć o zadaniach, czekających ją w wolnej Polsce. Rzeźba monumentalna będzie nam wkrótce równie potrzebną jak narodom wolnym i zasobnym i szczęśliwie się składa, że artysta taki jak Wojciech Durek, mający za sobą prócz ukończonej architektury znajomość wszystkich technik w drzewie, stiuku, marmurze i bronzie, osiada w kraju, aby mu oddać swą pracę i niepośledni talent. Dzięki temu, że p. Durek włada równie dobrze pendzlem, o czem świadczą wystawione razem z rzeźbami obrazy, (wyborny portret własny, studyum starca i Chrystus wśród kłosów zboża). Ojczyzna nasza zyskuje w nim artystę, którego wszechstronność daje rękojmię jednolitości artystycznej tak niezbędnej w powstawaniu dzieł wielkiej sztuki. Sztuka kościelna może i powinna przy odbudowie tylu świątyń w Polsce wyzyskać w pełnej mierze tę siłę młodą, wyszkoloną w Akademii Medyolańskiej.

Maciej Szukiewicz.

Pogrzeb ofiar katastrofy lotniczej w Krakowie.

W sobotę po południu z kaplicy szpitala załogi w Krakowie nastąpiło wyprowadzenie zwłok dwóch lotników ś. p. Wł. Bańka i Polkowskiego, którzy zginęli tragiczną śmiercią na lotnisku w Rakowicach. Pogrzeb zmienił się w wielką manifestacyę żałobną. Już na pół godziny przed wyprowadzeniem zwłok zgromadziły się przed szpitalem olbrzymie tłumy publiczności, które wkrótce zapełniły szczelnie przestrzeń od kaplicy do rogu ulicy Długiej. O godzinie 3 ciej po odprawieniu modłów żałobnych wyniesiono trumny, które pojedynczo osadzono na kadłubach aparatów lotniczych, przybranych jedliną.



Pogrzeb ofiar katastrofy lotniczej w Krakowie: Wyprowadzenie zwłok.



Kondukt pogrzebowy.



W drodze na cmentarz.

Pogrzeb ofiar katastrofy lotniczej w Krakowie

Guy de Téramond.

Tajemniczy zbrodniarz.

(Tłum. Marya Toczyska).

18

Jednego dnia wieczorem gościła u siebie generała V. szefa sztabu generalnego i generała G. należącego do technicznej Komisyi artyleryi. Pomiędzy tymi panami zawiązała się dyskusya w kwestyi nowej, 75 mm. armaty, którą armia francuska obdarzoną została w tym czasie.

Baronowa Olga należąca do rozmowy, założyła się z obecnymi, że w przeciągu czterech dni obezna się doskonale z manipulacyą działa i władać niem będzie, jak wytrawny kanonier.

Na ten cel kazała sobie sporządzić bardzo zgrabny i wyzywający kostyum artyleryjski i wobec specyalnej, zebranej komisyi zakład wygrała.

Innym razem znowu, zdarzyło się, że podczas manewrów generał T. W. naczelny wódz armii walczącej, zachorował i nie był w stanie dosiąść konia.

Baronowa Olga więc, w własnym automobilu, którym kierowała sama, obwoziła niezmordowanie generała przez kilka dni po placu ćwiczeń z wytrawną zręcznością zawodowego szofera.

Dwa razy w tygodniu, w poniedziałki i czwartki, cały Paryż przesuwał się przez jej loże w Operze i Komedyi Francuskiej, gdzie z niebywałym wdziękiem, lśniąca od drogocennych klejnotów przyjmowała ogólne hołdy, znajdując dla każdego miły uśmiech, lub słówko żartobliwe.

Ale pomimo, iż baronowa Branerswerska stała się ukochanym bożyszczem Paryża, był jednak ktoś, który dosyć sceptycznie odnosił się do jej osoby. Tym człowiekiem był prefekt policyi.

Był on jeszcze pod nieprzyjemnem wrażeniem śmiesznego zdarzenia, którego stał się ofiarą. W owym czasie w Paryżu pojawiło się książątko jakieś, całe kapiące złotem i dekoracyami, a przed którem prefekt na równi z innymi przedstawicielami władz, kornie uchylał czoła na oficyalnych zebraniach. Wkrótce, przy wybuchu niesłychanego skandalu, którego książątko owe było przyczyną, zwykły ajent policyi odkrył i doniósł swojemu szefowi, że ten, którego miano za wybitną jakąś osobistość, był najordynarniejszym chłopcem kawiarnianym, dotkniętym manią wielkości, a mającym już niejedną ciemną sprawę na sumieniu.

I teraz więc prefekt niedowierzał trochę pięknej cudzoziemce. Dyskretne śledztwo wykazało, że generał rosyjski, którego podawała za swojego ojca, nigdy nie miał dzieci, a pułkownik finlandzki jej mąż, był fikcyjną osobistością.

Wogóle nie wiedziano wiele o niej, przypuszczano tylko, że niegdyś była woltyżerką w pierwszorzędnym cyrku w Kopenhadze.

Kiedy więc kobieta tego rodzaju zjawia się nagle w Paryżu i podaje się za osobę z arystokracyi, wydaje nieprzeliczone sumy bez rachunku, stara się wcisnąć w towarzystwo i otacza ponajwiększej części tylko wojskowymi — łatwo bardzo posądzoną być może o uprawianie szpiegostwa.

Wydalić ją z miasta bez jasnego powodu, jedynie na podstawie pewnych poszlak, jest rzeczą dosyć ryzykowną. Z tego wybuchnąć może niemiły skandal. Kobieta taka może mieć licznych sprzymierzeńców i przyjaciół w prasie, a przytem człowiek porywający się brutalnie na młodą i ładną kobietę, nie może nigdy liczyć na poparcie opinii publicznej.

Na tę więc ostateczność prefekt policyi zdecydować się nie mógł. Pozostawała oczywiście tylko nadzieja przychwycenia jej in flagranti i w następstwie pozbycie się jej z granic państwa w sposób niezawodny, bez zbytniego rozgłosu.

Ale baronowa Olga obdarzona była niecodzienną przebiegłością.

Nic w jej zewnętrznem zachowaniu nie zdawało się potwierdzać podejrzeń zrodzonych przeciwko niej w umyśle prefekta. Stosunki jej z osobistościami najznaczniejszemi ambasady, były często towarzyskiej natury, a przyjęcie gorące, jakie odbierała we wszystkich salonach kolonii cudzoziemskiej wytłumaczone było dostateczną jej urodą i wrodzonym wdziękiem.

Z rozkazu prefekta ajenci pełnili w jej domu obowiązki służących i chociaż bacznem okiem obserwowali każdy jej ruch, zbadali tajemnicę jej biurka i korespondencyi, dotąd nie mogli odkryć nic podejrzanego.

Prefekt jednakże nie uważał się za pokonanego. W dalszym ciągu kazał swoim ludziom dyskretnie śledzić piękną cudzoziemkę, bo pewnym był, że wcześniej czy później cierpliwość jego wynagrodzoną zostanie. Specyalną pieczę nad baronową powierzył zaufanym ajentom. Byli nimi Touffe i Brisemiele. Oni to dniem



Interesuję się tą zbrodnią.

i nocą śledzili każdy jej krok, zdając codzienną relacyę ze swoich spostrzeżeń prefektowi w oznaczonych godzinach.

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Kiedy Newton po powrocie z Hamburga udał się na wezwanie baronowej Olgi, zastał ją już niecierpliwie oczekującą na niego.

— Oh! jak to dobrze, że pan przyszedł. — przywitała go radośnie uśmiechnięta. — Tak wiele słyszałam o panu, panie Newton. Wychwalano mi szczególniej zdumiewającą intuicyę pana i zręczność, a są to tak rzadkie zalety...

— Za wiele pochwał. — uśmiechnął się Newton, patrząc badawczo na baronową — Pragnąłbym szczerze, aby się pani o tych zaletach moich sama przekonać mogła.

— Nie wiem w jakim celu przybył pan do Francyi — ciągnęła dalej baronowa Olga — chciałabym się tylko dowiedzieć, czy rzeczywiście mógłby mi pan poświęcić trochę swojego cennego czasu.

— Jestem do całkowitej dyspozycyi pani. — skłonił się Newton uprzejmie.

— Niech pan siada, proszę. Chcę pomówić z panem o dosyć poważnych kwestyach. Pan czytał zapewnie w tych dniach w dziennikach tutejszych o zbrodni popełnionej na placu Malherbes?

— Chodziło, nieprawdaż, o bankiera niemieckiego zasztyletowanego w sposób bardzo tajemniczy i niewyjaśniony.

— Tak jest. Policya natychmiast powiadomiona o fakcie wysłała w ślad za mordercą jednego z najlepszych swoich detektywów.

— Inspektora Lapipe, o ile się nie mylę?

— Tak, inspektora Lapipe, który w obecnej chwili czyni skrupulatne badania na miejscu zbrodni.

— I nie odkrył jeszcze nic ciekawego. — uśmiechnął się Newton — Ale to dzielny człowiek, który niezawodnie wpadnie na ślad właściwy, chociaż niekiedy ulega dziwnym słabościom i zapomnieniom.

— A więc — podjęła baronowa z lekkiem podnieceniem w głosie — jeżeli obowiązkiem władz jest wyśledzić niecnego mordercę bankiera i ukarać go stosownie, to ja znowu z przyczyn czysto osobistych interesuję się gorąco wszystkiem, co może mieć jaką wspólnosć z tą zbrodnią.

Słowa te wywołały uśmiech na twarzy detektywa. Tajemnicza zbrodnia dokonana na bankierze, panu Korpstrauss zaczynała się nareszcie rozjaśniać. Już teraz był pewny, że piękna Rosyanka w jakikolwiek sposób wmieszana była w całą tę sprawę i odgadł natychmiast w jakim celu zawezwała go do siebie.

Jako zaś poddany amerykański mógł bez najmniejszego skrupułu przyjąć delikatną misyę, przeciw policyi francuskiej, którą mu baronowa zamierzała powierzyć.

— Jeżeli dobrze zrozumiałem — odezwał się po chwili — pani baronowa żąda odemnie prowadzenia śledztwa narówno z inspektorem Lapipe, lecz bez jego wiedzy. W ten sposób uprzedzona o jego działalności, będzie pani mogła przedsięwziąć wszelkie kroki ostrożności w razie potrzeby?

Baronowa Olga była osobą umiejącą panować nad sobą, jednakże na to jasne wystąpienie Newtona, lekka bladość pokryła jej twarz i w oczach zamigotał cień niepokoju.

— Oh! — zawołała żywo — Nie potrzebuję wcale uciekać się do ostrożności panie Newton... Przecież nie jestem wmieszana w ten smutny dramat... Najzwyklejsze interesa tylko łączyły nas z panem Korpstraussem, oto wszystko!

— Zagalopowałem się na fałszywą drogę. — pomyślał detektyw — jest coś jednak, co ją mocno niepokoi. Może listy jakie, które pozostawiła w rękach bankiera, a których odkrycie mogłoby ją skompromitować... Dręczy się niepewnością, czy listy te zostały spalone, bo może taka umowa istniała pomiędzy nimi, a teraz chce być uprzedzona o ich odkryciu, żeby przygotować sobie potrzebną obronę i zabezpieczenie.

— A więc, panie Newton? — przerwała niecierpliwie jego zamyślenie baronowa.

— Od jutra wezmę się do działania. — odpart Newton — Może pani zupełnie polegać na mnie.

— Otóż tego właśnie pragnę, panie Newton i proszę nie oszczędzać ani swoich sił, ani trudów. Muszę przytem jeszcze zaznaczyć, że wszelkie podane przez pana warunki przyjmę z gotowością. Ale — dodała uśmiechając się czarująco — proszę o jedno; jeżeli pan będzie miał mi coś do zakomunikowania, to proszę zjawić się u mnie osobiście. Wszelkie telegramy, rozmowy telefoniczne, listy, czy posłańcy byliby niepożądani.

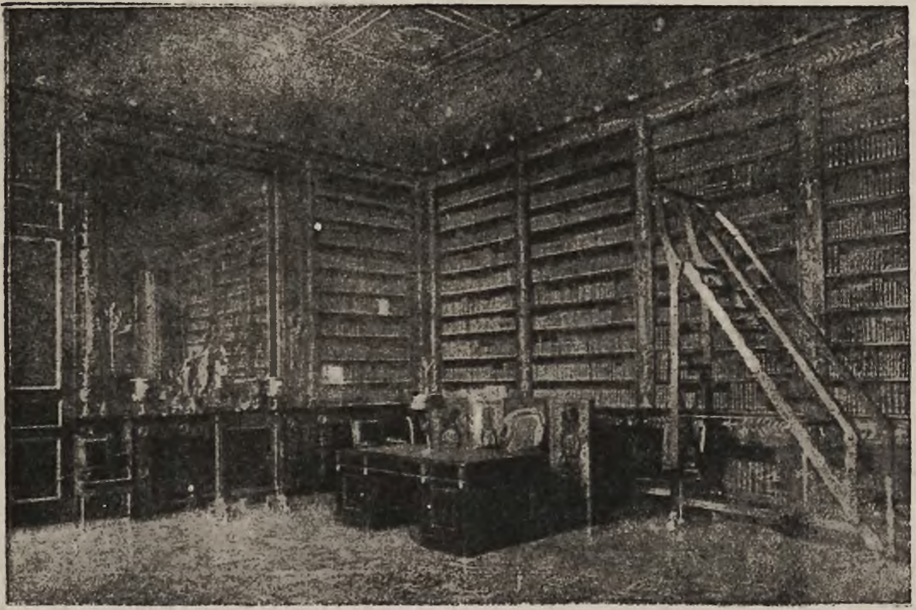
(Ciąg dalszy nastąpi).

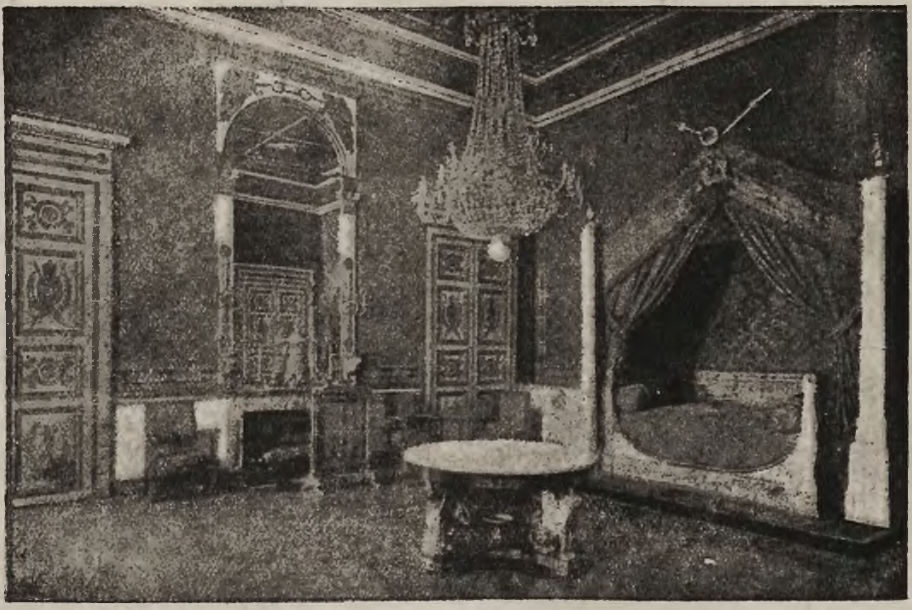
Pożar zamku Napoleona I.

Zamek w Compiégne, tuż dawnego frontu niemiecko-francuskiego położony, wojska nieprzyjacielskie bardzo mało zniszczyły; większe szkody wyrządziły strzały armatnie i aeroplanowe, wskutek czego fasadę zwróconą na park zdruzgotano. Zniszczone także niektóre ozdoby szklanne i malowidła ścienne. Obecnie jednak skrzętna i zapobiegliwa praca konserwatora Saradin doprowadziła wszystko do dawnego stanu rzeczy tak, że nawet sprowadzono meble i obrazy które przedtem wywieziono w głąb Francyi. Zdawało się, że zamek wkrótce stanie w dawnej świetności, gdy niespodziewany pożar zniszczył dotychczasową pracę w znacznej części, a nawet wyrządził większą szkodę, aniżeli wojna, która burzą przeszła przez granice Francyi.

Przyczyny pożaru można się mniejwięcej domyślać. Około zamku była zatrudnioną znaczna ilość pracowników, który nie rozumiejąc ważności i doniosłości swojej pracy około słynnego zabytku historycznego, swoją nieostrożnością spowodowali pożar, którym dotkniętą została przedewszystkiem sala Rady i sypialnia Napoleona I. Oto administracya odbudowy przez czas pracy ulokowała się w apartamentach zamkowych, gdzie też postawiono sobie prowizoryczne piece. Obecnie podczas zimy, setki funkcyonaryuszów pragnęło się oczywiście ogrzać i tu tkwiła przyczyna powstałego pożaru. Na noc też pozostawiono piece rozpalone.

W nocy z 13. na 14. grudnia około trzeciej godziny stróż obchodząc zamek, zobaczył wydobywające się języki płomienne z okna części zwróconej ku parkowi. Na zrobiony alarm obudzili się: konserwator, architekt, straż, pompierzy miasta i mieszkańcy Compiégne i zorganizowano natychmiast energiczną pomoc ratowniczą. Ogień powstał w pokoju znajdującym się pod salą Rady i szybko objął całe skrzydło. Pomoc wytężona okazała się konieczną i dzięki usilnej pracy zdołano szybko pożar zlokalizować. W każdym razie szkody okazały się znaczne. Ocalała cenna biblioteka, natomiast znacznemu uszkodzeniu uległa sypialnia cesarza. Szczęśliwie, nie sprowadzono jeszcze wszystkich mebli, ustawiono jedynie łóżko Napoleona I., które spaliło się. Cenne malowidła Girodeta na suficie sypialni: Wojna, Sprawiedliwość, Męstwo i Wymowa zostały znacznie uszkodzone. Wskutek siły ognia popękały malowidła ścienne w kilku sąsiednich salach.





Pożar zamku Napoleona I.

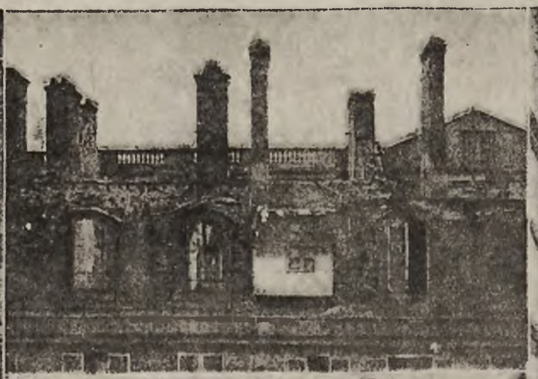
Biblioteka cesarza, szczęśliwie ocalała z pożaru; książki i umeblowanie w krytycznej chwili wyniesione w bezpieczne miejsce.

Pokój cesarza Napoleona I, w ozdobach i umeblowaniu przedwojennem; w czasie restauracy ustawione jedynie łóżko, które pożar zniszczył zupełnie.



Pożar zamku Napoleona I.: Fasada lewej części zamku; na przedzie pięć okien spalonych sal; na boku rusztowanie ustawione celem naprawy zniszczonych w r. 1918 partyi.









Pożar zamku Napoleona I. 1) Sufit ponad pokojem cesarza zniszczony przez pożar. 2) Widok na spalone wiązania dachu. 3) Dach ponad salą Rady. 4) Zniszczona sala położona obok pokoju cesarza.

Kronika tygodniowa.

Dopiero teraz, gdy już od nocy Sylwestrowej dzieli nas sporo czasu, dowiadujemy się, jak ochoczo bawił się Kraków, jak gdyby zapomniał, że tam, na wschodnim froncie leje się polska krew, a na zachodzie, połudnu i północy nie wiemy, co nas czeka.

Bawiono się w ścisłem tego słowa znaczeniu do samego rana, wypijając przytem całe morze szampana, niezliczoną moc wódek, ponczów itd., połknięto zaś taką masę pączków, że wszystko to razem zamienione na gotówkę, w samym Krakowie dałoby kilkaset tysięcy. W pewnej restauracyi płacono po dwadzieścia pięć koron za krzesło, kieliszek zaś lichego szampana kosztował... dwieście koron. Cały czysty dochód przeznaczony był na cele... kieszeni właściciela.

I narzekają ludzie, że ciężkie czasy, a pieniędzy brak, tymczasem zaś zadają kłam swym własnym słowem, bo jeżeli się rozchodzi o zabawę i własną przyjemność pieniędzy nie brakuje nawet najbardziej jęczącemu na los garbaty!

Stwierdzono statystycznie, że większość bawiących się to „neutralni“ obywatele z należycie wypchanymi portfelami. Bawili się bardzo głośno i z wielką pewnością siebie, jaką daje pieniądz. Radzi byliby, gdyby ich wesołość udzielała się i sąsiadom, boć to żadna przyjemność patrzeć na smutne oblicza sąsiadów. To psuje wesoły nastrój.

Słyszano, jak jeden z takich „wesołków“, zamawiając butelkę szampana, zwrócił się do kelnera ze słowami:

— A strzel głośno!... Dostaniesz za to *extra* dwie korony!...

Gospodarze wszelakich lokali rozrywkowych mówili też, że stary rok dobrze się skończył, a nowy zaczął nie najgorzej, tego samego zdania byli i kelnerzy, którym taki wieczór przynosi grube tysiące.

Dla illustracyi obecnych stosunków niech służy dowód autentyczny. Opowiadano mi, że *piccolo* w pewnej eleganckiej restauracyi ma legalnych dochodów tysiąc pięćset koron i utrzymanie, nie mówiąc o tem, co on sam uważa za „dochody boczne“.

I nieraz gdy o tem myślę, złamałbym ostatnie pióro kronikarskie, wziął serwetę pod pachę, a ołówek do ręki i liczyłbym gościom, starając się, by się nigdy nie pomylić na swoją niekorzyść, a od „pomyłki“ także obliczyć i procencik!

Z tymi procentami miast napiwków, które sobie kelnerzy uchwalili, a my z uległością przyjęliśmy co nam narzucono, to miała od Nowego Roku zajść ta zmiana, że „podatek“ ów, ze względu na ciężkie czasy miał być podwyższony i nie „dopisywany“ do rachunku, lecz wliczony w ceny potraw i napojów, co dałoby sposobność i gospodarzowi „uregulowania“ ceny z pewnym zyskiem dla siebie.

Czy tak zostało, nie wiem, w żadnej bowiem restauracyi nie byłem od Nowego Roku, ceniąc nad wszystko spokój i ciepło ogniska domowego, choć i cicho tam być nie może, gdzie są baby, ani ciepło, jeśli się w piecu nie pali.

Nowy Rok zaznaczył się już przecież różnemi „nowinkami“, które zarówno dotyczą żywych, jak i umarłych.

W pierwszej linii podrożał więc tramwaj, za bilet płaci się bowiem koronę, co wpłynęło na zmniejszenie ścisku we wozach, z czego najbardziej niezadowoleni są kieszonkowcy, mając utrudnione warunki operacyi. Pozatem wydano zakaz wypiekania i sprzedawania w cukierniach, kawiarniach itd, ciastek z mąki pszennej, jęczmiennej, żytniej itd., dozwalając jedynie na podawanie gościom białych, słodkich bułeczek.

Płeć piękna jest tem drakońskiem zarządzeniem oburzona do żywego i niezawodnie przez łaskawego posła w spódnicy wniesie interpelacyę w Sejmie i postara się o zniesienie zakazu.

Magistrat, w którego budżecie stwierdzono dziurę i to daleko większą, niż owa na słońcu, mając coś około trzydzieści milionów deficytu, co jest zresztą bardzo pomyślnym objawem, bo stwierdza, że mamy kredyt, co jest znów dowodem naszej zamożności, stara się o wynalezienie środków na jej załatanie i wysila swą fantazyę na wymyślenie „nowych źródeł dochodu“, ale stałych, gdyż dawna polityka finansowa naszej gminy, polegająca na zasadzie „zaciągnąć pożyczkę krótkoterminową, która będzie pokrytą z długoterminowej, uzyskać się mającej...“ okazała się nieodpowiednią. A takie źródło dochodu trudniej nieraz wynaleźć niż naftowe. Nawet i różdżka czarodziejska nie pomoże.

Przygotowują się zatem nowe podatki, dodatki, opłaty, na które narażeni są żywi, nie zapomniano jednak i o nieboszczykach i podniesiono ceny miejsc na cmentarzu, co może wpłynie na zmniejszenie się „ruchu zmarłych“, podobnie jak to widzimy na porównaniu liczby dawniej jeżdżących tramwajami, z jeżdżącymi obecnie.

— Nie każdego, łaskawy panie, stać dziś na to, aby mógł umierać! — rzekł do mnie jeden ze znajomych, którego nie tak dawno skazali lekarze na śmierć, ale on widocznie wniósł od tego wyroku odwołanie, chodzi bowiem po mieście zupełnie żywy (nie duch!... Broń Boże!...) i powtarza każdemu słowa wyżej przytoczone.

I ma racyę! Życie dziś drogie, ale i śmierć także droga.

Pięknie to bardzo, że nasz magistrat stara się równomiernie rozłożyć owe opłaty na wszystkich, więc na żywych i umarłych, ale, czy to się zda na co?... Czy ową dziurę załata się radykalnie?... Ja sądzę, że nie, bo ona ma to do siebie, że się ciągle otwiera, jak nie tu, to tam.

Nad czemże radziliby zresztą nasi ojcowie miasta, gdyby nie było deficytu?

Z tych nowych opłat, jakie teraz mają być, skorzystali już, jak to zresztą w poprzedniej kronice wspomniałem, kamienicznicy i, aby przygotować lokatorów, podnieśli już teraz ceny, tłumacząc się, że dziś mieć dom, to znaczy tyle, co mieć kłopoty.

Bo i proszę mi powiedzieć, czy to nie kłopot, jeśli takiemu panu, który „zaoszczędził“ na wojnie i pasku nieco grosza i kupił przed kilku miesiącami kamieniczkę za sześćset tysięcy koron, dają dziś półtora miliona, naturalnie koron, o których się mówi, że nie są nic warte, ale się je zbiera i chowa, w przewidywaniu, że one przecież odzyskają swą wartość, niech je tylko wyłowią zagraniczni spekulanci.

Kamienicznicy płaczą nad swą dolą, ale im to nie przeszkadza kupować coraz to dalsze realności, wychodząc ze założenia, że w każdym razie pewniejszy jest kawałek ziemi, niż papier i to lichego gatunku.

Mieliśmy od Nowego Roku już jeden strajk, mianowicie drukarski, celem upamiętnienia rocznicy przedostatniego, który wypadł właśnie w pierwszej połowie stycznia 1919. Rozchodziło się o „drobnostkę“, podwyższenie płac o dziewięćdziesiąt procent, tak, że stary drukarz, pracujący przy dzienniku, zarabia teraz do pięciu tysięcy koron miesięcznie.

I jak wobec nich wyglądają ci, co piszą? Zdaje się, że byłoby najlepiej, gdyby sam autor nauczył się składać. Doliczywszy do pracy drukarskiej honoraryum autorskie, miałoby się więcej niż się dziś ma i zadałoby się kłam owemu wyrażeniu „bryndza dziennikarska“.

Dziś stosunek bowiem między dziennikarzem a drukarzem jest jak dwa do siedmiu. Aby w dziennikarstwie zarobić dwa tysiące koron miesięcznie, trzeba się dość napracować, drukarz zaś o siedmiu tysiącach gaży nie będzie odtąd należeć do rzadkości.

Zatem apel do rodziców, mających dzieci.

Chcąc im zapewnić przyszłość, należy je już zawczasu kierować na drogę praktyczną, a nie myśleć dla nich o jakiejś umysłowej pracy, na tem bowiem wyjdą jak najgorzej i kiedyś będą przeklinać pamięć swych rodziców, którzy „spaczyli ich przyszłość“ i skazali na klepanie biedy.

I będą miały zupełną racyę!

Co się jeszcze tyczy owych strajków, to należy zaznaczyć, że mamy ich po uszy! Niema prawie tygodnia, aby ktoś nie zastrejkował.

Strajk to broń bardzo skuteczna, ale nie powinno się jej nadużywać. Strajkują golibrody, przechodzi się nad tem do porządku dziennego, ostatecznie i strajk drukarski jest jeszcze do zniesienia, natomiast bezrobocie kolejarzy lub górników ma nieobliczalne wprost następstwa, gdyż paraliżuje handel i przemysł, odbija się wogóle na całem życiu, spychając je na niewłaściwe tory.

Nie biorę tego nikomu za złe, jeśli się stara o poprawę swego bytu, gdyż jest to łatwo zrozumiałem, że każdy dąży do tego, aby mu było jak najlepiej. Ale jak we wszystkiem, tak i tu powinna być zachowaną pewna miara.

Strajki, powodujące podwyżkę cen w najrozmaitszych dziedzinach, odbijają się tylko na kieszeni odbiercy i konsumenta, a to nie może iść w nieskończoność, bo ostatecznie i on raz znajdzie się w tem położeniu, że powie: „Nie da rady!...“ i... zastrejkuje.

W obecnych warunkach byłyby przecież wskazane dwa bezrobocia, to jest restauracyjnej publiczności i paskarzy.

Prawda, że na karnawał czeka się rok cały, ale we warunkach, w jakich nam przychodzi pędzić życie, byłoby wskazanem więcej umiarkowania.

Już od Sylwestra tańczy się u nas bez pamięci na cele narodowe, kulturalne, humanitarne, ale także i bez celu. Owe „cele“ to tylko parawan, za którym kryje się dyskretnie... własna przyjemność. Pięknie jest dać folgę swej ochocie i jest to nawet nieraz wskazane, ale my mamy jeszcze bardzo mało powodów do okazywania takiej nadmiernej radości.

Uporządkujmy najpierw nasze wewnętrzne i zewnętrzne stosunki, a wtedy znajdzie się czas i na huczną zabawę, co zaś ważniejsze nikt nam tego nie weźmie za złe.

I dlatego należy przyjąć z uznaniem do wiadomości postanowienie Poznańskiego, aby w tym roku, gdy się jeszcze leje polska krew na kresach, wstrzymać się od hucznych zabaw. Kto się bez nich obejść nie może, znajdzie sposobność w domowem kółku, gdzie się można nawet lepiej i swobodniej zabawić, niż na balu publicznym.

Składanie nóg na ołtarzu pracy narodowej lub dobroczynności publicznej weszło u nas w modę, byłoby zaś bardziej wskazanem, aby raczej brało się w tym kierunku w rachubę głowę lub ręce.

Zupełnie to samo powiedzieć można i o paskarzach. Pracują oni tak zawzięcie, że byłoby wskazanem, aby sobie raz już wypoczęli i ogłosili bezrobocie. Sami na tem nic nie stracą, a ogół zyska.

Słusznie zupełnie wyraził się ktoś, że w historyi świata, po wędrówce narodów, przyszła teraz kolej na wędrówkę paskarzy. Jak kruki, węszące za żerem, ciągną z miejsca na miejsce, ogałacając daną okolicę ze wszystkiego, co może im przynieść jaką materyalną korzyść.

Gdy swojego czasu mocarstwa centralne posunęły się w swym „zwycięskim pochodzie“ ku Wschodowi, Ukraina stała się ich ziemią obiecaną. Całą falangą ruszyli ku wschodowi, docierając do Kijowa i Odessy, mniej odważni obrali sobie Lwów za teren swej działalności. Zaroiło się też we Lwowie od różnego rodzaju aferzystów, przeważnie „neutralnych“, a interesy robili doskonałe.

Obecnie przyszła kolej na dawny zabór pruski, głównie Poznańskie i tam też ciągną, niczem Turcy do Mekki, czując tam dobrobyt i postanawiając go zniszczyć za każdą cenę.

Że zaś w Poznańskiem jest lepiej, niż u nas, tego dowodem choćby bułka za pięć fenigów, którą kronikarzowi przywiózł z nad Warty jeden z politycznych przyjaciół. U nas taka sama, to znaczy tej wielkości, lecz z ciemniejszej mąki, kosztuje dwie korony i dwadzieścia halerzy.

Niech się jednak paskarze zabiorą po swojemu do roboty i tam rychło zmienią się stosunki, ale z pewnością nie na lepsze.

I dlatego strajk paskarzy byłby bardzo wskazany i spotkałby się z ogólnem uznaniem.

Kto tam zajmowałby się tego rodzaju drobnostkami, skoro mamy na głowie sprawy daleko ważniejsze, a jedną z nich jest kwestya, w którem miejscu ma stanąć w Krakowie gmach opery.

Bo, że bez własnej opery tak bogate miasto, jak gród podwawelski, obejść się nie może, to już postanowione, rozchodzi się tylko o to, gdzie ona ma stanąć i skąd na nią wziąć pieniędzy.

Najpierw radzono obrać miejsce nad Wisłą, potem u wylotu ulicy Wolskiej. Pierwszy projekt spotkał się z zarzutem, że wilgoć źle wpłynie na głosy śpiewających, przy rozważaniu drugiego wzięto w rachubę wiatry, wiejące od strony Błoń. Pozostał zatem punkt trzeci, to jest sąsiedztwo Parku Krakowskiego.

A fundusze?... O nie głupstwo, skoro można pożyczyć, miasto coś da, znajdą się też zapewne i mecenasi sztuki, nie mogący się pogodzić z myślą, że taka stolica, jak Kraków, mogła się dotąd obejść bez stałej opery.

I jest w tem racya! Śpiewamy przecież i to bardzo cienko, zatem sił operowych i to krajowego wyrobu, z pewnością nam nie braknie.

Mniejsze już daleko zainteresowanie wywołała wojna, jaką nowy minister skarbu, pan Grabski, wypowiedział koronom. Ci, którzy koron nie mają, powiadają sobie, że im wszystko jedno, czy funt koron ma to znaczenie co funt marek, szczęśliwi zaś ich posiadacze są tego zdania, że i na tej transakcy można zrobić niezgorszy interesik.

Już to, przyznać trzeba, pan minister skarbu nie udał się nam wcale i bardzo to nieładnie z jego strony, że tak „leci“ na Małopolskę. Ale, bo i cały gabinet jest nieszczególny.

Gdy po panu Paderewskim podjął się złożenia gabinetu pan Skulski, otucha wstąpiła w serca, zwłaszcza gdy się dowiedziano, że to aptekarz z zawodu. Ci zaś panowie znani są z tego, że nie gonią za jakimś nieuchwytnym ideałem, lecz zapatrują się na życie z praktycznej strony. Sądzono też, że wszystko pójdzie gładko, jak po... wazelinie, tymczasem odzywają się jeden po drugim dysonanse, choć gabinet nie zaczął jeszcze na seryo urzędować.

Marya Toczyska Sogony.

BEZ STERU

Powieść.

24

— Eh! bo to proszę pana szefa cała historya — zaczął kasyer niepewnym głosem. Ja tam nie lubię mieszać się w takie rodzinne sprawy. Ale ja myślę, że panu wiadomo, skoro pan sam panu Henrykowi na to małżeństwo pozwolić nie chce...

— Aha! więc ci się zwierzał z tego wszystkiego — mruknął niechętnie Walewicz, chodząc dużymi krokami po podłodze. Obraził się panicz na ojca i do biura przychodzić nie chce. Ale ja mu te głupstwa prędko z głowy wybiję! Słyszane rzeczy! Cóż to on sobie myśli! Jeżeli on niema rozumu, to ja go za niego mieć będę? Nie pozwolę mu przecież marnować całej przyszłości przez jeden krok szalony i dziecinny. Nie na to pracowałem ciężko przez lat trzydzieści, aby teraz wszystko na marne szło! Ja mam całkiem inne plany dla niego i od nich nie ustąpię nigdy!...

— A jeżeli tamta strona odstąpi dobrowolnie od tych planów — zapytał poufale stary kasyer, który widocznie musiał być wtajemniczony w zamiary Walewicza. Tam się na dobre coś psuć zaczyna. Widziałem się wczoraj w kawiarni z panem Winterem.

— Widziałeś się z Winterem? — zaniepokoił się Walewicz, stając nagle przed Schmidtem. I cóż ci on mówił.

— Dowiedział się o całej tej awanturze z tą panną z Krakowa — mówił dalej kasyer, głos zniżając i obrażeni są bardzo na pana Henryka. Stary mówił, że się z córką wpraszać nie będzie, bo niejeden ją weźmie chętnie razem z fabryką.

— A to mi smarkacz narobił! — żachnął się ze złością Walewicz. Tak się dobrze wszystko układało. Dosyć miałem roboty z żoną zanim ją przekonałem do tej Winterówny. Krzywiła nosem, że Niemka! Ale to był wspaniały interes. Ich fabryka świetnie się rentuje. Za parę lat stary oddałby ją całkiem zięciowi. Mnie już także czas pozbyć się wszystkich kłopotów. Głupiec! Sam nie wie, co z rąk wypuszcza. Mógłby niedługo się stać najbogatszym fabrykantem w Wiedniu. Ale słuchaj no Schmidt — uspokoił się po chwili Walewicz — może nie jest jeszcze tak źle, jak mówisz? Chcą się tylko może podroczyć? co?

— Winter był bardzo rozgniewany. Mówił, że ani już myśleć nie chce o tem małżeństwie. Dla niego to przecież wstyd, bo rozniósł o tem po całem mieście. Podobno śmieją się z niego, że z córką został na koszu. Widziałem, jak potem rozmawiał z tym baronem z Berlina, co się koło Winterówny kręcił. Pewnie z nim nowy interes ubijał...

— Ale możebyś ty jeszcze z nim pogadał Schmidt? — zamyślił się Walewicz. Przecież tak tego zostawić nie można. Winterówna pierwsza partya w Wiedniu.

— Po co z nim będę gadał — oburzył się kasyer. Ja już zaraz wczoraj widziałem, że sprawa przegrana. Szkoda czasu. A zresztą czy to pan myśli, że pan Henryk tak łatwo odstąpi od tej panny. Mnie się zdaje, że tu już nic nie pomoże i że się pan będzie musiał zgodzić! Ma pan jednego syna i majątku dosyć. Szkoda żeby się młody zmarnował.

— Co się ma zmarnować! Ja na to małżeństwo nigdy nie pozwolę — upierał się ze złością Walewicz. Dziewczyna bez centa i do tego awanturnica jakaś. skoro tu za nim przyjechała. Cóż to głupca chcecie ze mnie robić, czy co? Widzę, że ciebie już przerobić potrafili. Ale ze mną nie taka łatwa będzie sprawa!

— Pan widzi co się już dzieje — przedstawiał spokojnie kasyer, widocznie przejednany na stronę syna, który wychował się i wyrósł pod jego oczami. — Pan Henryk więcej do biura nie wróci tego jestem pewny. To silna głowa jak się na coś uprze. A jak wyjedzie gdzie z tą panną, to jeszcze wielkiej zgryzoty panu narobi. Mógł nawet zacząć od tego, a przecież przyjechał tu prosić o pozwolenie.

— Potrzebny też był ten jego wyjazd do Krakowa. Jakżeście mnie wszyscy obsiedli, że potrzebuje się trochę rozejrzyć po świecie, rozerwać, odpocząć, tak też sobie pozwolił. Ty pierwszy głosowałeś za mnie.

— Ano cóż proszę pana — bronił się Schmidt. Ja tam zawsze miałem słabość do pana Henryka. Dobry i mądry z niego chłopiec był zawsze i teraz...

— I teraz go podburzasz przeciw ojcu! Sprzysięgliście się na mnie, ale ostrzegam, że się przerachować możecie — upierał się, ale już słabiej trochę Walewicz, nie chcąc się zdradzić, że wiadomość o obrazie Wintera i zniszczeniu ułożonych projektów, podziałała łagodząco na niego. No, wracaj teraz stary do swojego biura, a jakby Henryk przyszedł, to go zaraz przyszlij do mnie.



Zwyciężyliśmy! prawda mamo?

— Zdaje mi się, że nie prędko doczekamy się go tutaj — mruknął, odchodząc stary kasyer.

Kiedy Walewicz o porze obiadowej powrócił do domu, z fabryki, zastał tylko żonę w jadalnym pokoju.

— Henryka niema? — zapytał, brwi marszcząc.

Niepokój i troska zaćmiły łagodne oczy Walewiczowej.

— Niema go — szepnęła z westchnieniem. Wychodząc rano kazał powiedzieć, żeby nie czekać na niego.

— Ładnie się sprawia twój gagatek — sygnął Walewicz, siadając do stołu. To skutki twojego pobłażania i tych wiecznych konszachtów, uprawianych za mojemi plecami.

— Boję się o niego — ośmielała się coraz więcej Walewiczowa. Kto wie jaki znowu zamiar ułożył sobie w głowie. Rano był taki rozdrażniony, że nie dał sobie słowa powiedzieć.

Walewicz wzruszył ramionami obojętnie i zabrał się do jedzenia. Ale widać było, że i jego dręczyła obawa o syna. Obiad ze względu na służbę przeszedł w milczeniu. Walewicz kazał podać czarną kawę do swojego gabinetu i wstał pochmurny i zły, wzywając żonę za sobą.

Rozmowa trwała długo, przerywana wybuchami gniewu Walewicza i cichym płaczem Walewiczowej, starającej się go łagodnemi słowami uspokoić. Ale kiedy nareszcie wyszła z gabinetu męża, twarz jej jaśniała radością i ulgą. Ubrała się szybko i pobiegła z dobrą nowiną do pani Anny, mając nadzieję zastać tam syna.

Ale i tam nie widziano Henryka od dnia poprzedniego.

— Zaczekaj na powrót Isi z pracowni — zaproponowała pani Anna, którą już Walewiczowa poinformowała o ostatecznej przeprawie z mężem. Może ona się z nim widziała, a kto wie, czy nie powrócą tu razem, bo Henryk zwykle odprowadza ją do domu wieczorem.

Walewiczową więc została i obydwie panie dumne z odniesionego zwycięstwa skracały sobie czas budowaniem projektów na przyszłość.

Koło godziny siódmej Isia wbiegła do mieszkania. Walewiczowa na jej widok zerwała się i pobiegła do niej z niespokojnem zapytaniem.

— A Henryk? Czy jest z tobą? Widziałaś go?

— Jest, jest — zawołała Isia, zdziwiona trochę jej zachowaniem. Rozbiera się w przedpokoju.

Ujrzawszy matkę z dziwnie rozpromienioną twarzą i dawno niewidzianym uśmiechem na ustach. młody Walewicz odrazu domyślił się wszystkiego.

Przyskoczył do niej i całując serdecznie jej ręce — wołał, ciesząc się jak dziecko.

— Zwyciężyliśmy! prawda mamo? zwyciężyliśmy na całej linii. Widzę to po twoich oczach! Ale ciężką mieliśmy wszyscy przeprawę z ojcem — co? Cóż tak nagle jednak wpłynęło na jego decyzyę?

— Zaniepokoił się bardzo twoją nieobecnością w biurze i w domu — Odpowiedziała Walewiczowa, patrząc z miłością na syna. Tyle strachu nas nabawiłeś niedobry chłopcze! Tak się bałam, czy ci się co złego nie stało, bo z tą twoją szaloną głową nigdy nie wiadomo, czego oczekiwać można.

Walewiczowa nie wiedziała, że najważniejszym powodem, który zwalczył upór męża było przeświadczenie o porażce, doznanej w projektach jego małżeńskich z córką Wintera, bo Walewicz dotknięty do żywego tem niepowodzeniem nawet przed nią się z tem nie zwierzył.

— Nie pokazywałem się w domu rozmyślnie — zaśmiał się Henryk, chcąc ojca przekonać, że nie jestem już dzieckiem, które pod klucz zamknąć można. Co zaś do ciebie mamo, to wiedziałem, że przyjdziesz do pani Anny dowiedzieć, co się ze mną dzieje. No, ale teraz już wszystko będzie dobrze, skoro przebrnęliśmy przez najtrudniejsze. Słyszysz Iśka — zwrócił się do dziewczyny, rozprawiającej coś gorąco z panią Anną. już od dziś stanowczo przechodzisz pod moją kuratelę i słuchać mnie musisz na skinienie. A teraz pierwszy rozkaz! Pójdziemy wszyscy razem do ojca i podziękujemy mu za to zdobyte pozwolenie. Prawda mamo, że tak będzie dobrze?

— Ależ oczywiście moi kochani, powinniście to zaraz zrobić — oświadczyła Walewiczowa, całując serdecznie Isię, tulącą się do niej z lekkiem pomieszaniem.

— A jutro jedziemy do Krakowa Isiu! — zawołała pani Anna, ubierając się już do wyjścia.

— Do Krakowa? po co? — zapytała niespokojnie Isia, która z radości swojej zapomniała o całym świecie.

— Przecież należy uwiadomić twoich rodziców! — napomniała ją surowym głosem pani Anna. Zapominasz, że nie jesteś pełnoletnią i zależysz od nich. Przynajmniej formy należne musimy zachować, jeżeli się tam co innego nie pociąga.

(Ciąg dalszy nastąpi).



„Ponad śnieg“ Żeromskiego: Osterwa i Grimnicka.



„Ponad śnieg“ Żeromskiego: Osterwa i Siemaszkowa.



Ze sportu zimowego: Kurs narciarski Tatrzańskiego Towarzystwa Narciarzy przed wymarszem na ćwiczenia



„Ponad śnieg“ Żeromskiego: Osterwa i Szymański.

„Ponad śnieg“ Żeromskiego.

W nowym przybytku sztuki w sali Redutowej w Warszawie wystawiono sztukę Zeromskiego p. t. „Ponad śnieg“. Dzieło to uderza przedewszystkiem rozmiarem i wagą myśli. Autor przełamał tu plan wszelkiej architektury scenicznej. Poza budową akcyi, konfliktem i prowadzeniem charakterów, wyłania z duszy bohatera fragmenty jego przeistoczeń i te ukazuje widowni, jakby narodziny nowych tematów, z których dałoby się snuć coraz to inne dramaty. Bohater Zeromskiego, to człowiek, oczyszczający się z winy nie przez ból osobisty, lecz przez cierpienie ogólno-ludzkie. „Ponad śnieg“, to pierwsza praca Zeromskiego przeznaczona dla teatru, a która osiągnęła rezultaty wprost niepowszednie. Artyści grali wyśmienicie, a zasługą to w pierwszym rzędzie Juliusza Osterwy, reżysera i twórcy głównej postaci w sztuce.

Jubileusz „Sokoła“ w Podgórzu.

W ubiegłych dniach odbyła się rzadka uroczystość w Podgórzu. Oto tamtejszy „Sokół“ obchodził jubileusz swojej wieloletniej pracy, zabiegliwej i owocodajnej. Po uroczystem nabożeństwie przemówił do drużyny sokolej i licznie zebranych gości prezes „Sokoła“ prof. Wodzinowski, podkreślając pracę, jaką rozwijano przez długi czas istnienia dla dobra Ojczyzny i podniesienia ducha jej pracowników. Zadanie sokolstwa polskiego jest niemałe, a opanowuje ono liczne placówki; dawniej dziś „Sokół“ poza wieloma czynnościami rozwija swoją działalność w kierunku podniesienia fizycznego i duchowego zdrowa społeczeństwa, przez to stając się ważdym czynnikiem na polu pracy narodowej.



Jubileusz „Sokoła“ w Podgórzu: Wydział „Sokoła“ z prezesem prof. Wodzinowskim.

Po kilku jeszcze przemówieniach zakończono uroczystość niosącą w sobie miłe i wdzięczne wspomnienia, tej rzadkiej chwili.



Jubileusz „Sokoła" w Podgórzu: Wesele góralskie.

Ze sportu zimowego.

Podobnie, jak po inne lata, zgromadziły i w tym roku Zakopane liczne rzesze narciarzy i adeptów narciarskich, którzy zgrupowali się w dwu licznych pięciodniowych kursach narciarskich odbytych w czasie świąt Bożego Narodzenia. Jeden z kursów Tatrzańskiego Towarzystwa Narciarzy prowadził inż. Bobkowski, autor niedawno wydanego podręcznika narciarskiego, drugi — Sekcyi Narciarskiej Towarzystwa Tatrzańskiego prowadził Z. Ritterschild. Pierwszy z kursów wykazał niebywałą dotąd ilość uczestników w liczbie 84 osób. Z pieśnią na ustach sunęli narciarze wesoło i gwarno na pola ćwiczeń; ciemne ich sylwetki kontrastowały z bielą śniegu, pokrywającego bogato odwiedzane stoki Antołówki, Gubałówki, Kalatówek i Hali Kondratowej.

Równocześnie odbywał się w Zakopanem zjazd delegatów polskich Towarzystw narciarskich, mający za cel utworzenie Polskiego Związku Narciarzy. Prace odnośne prowadzi się w szybkim tempie dalej.

Oprócz tego projektowane jest urządzenie w Zakopanem z końcem lutego b. r. pierwszych polskich państwowych zawodów narciarskich, oraz wyścigów bobsleighowych i saneczkowych.

W pierwszych dniach stycznia zamierzonem jest otwarcie ponowne toru bobsleighowego w Kuźnicach koło Zakopanego dla użytku publiczności.

Zbrodniarze złoczowscy.

Echa inwazyi ukraińskiej we wschodniej Galicyi jeszcze nie ucichły i z pewnością na długi czas nie zaginą. Wypadki rozgrywające się na jęczącej pod



Ze sportu zimowego: Kurs narciarski P. T. N. Na stokach Antołówki.

knutem ukraińskim polskiej ziemi dopiero dziś wychodzą w jaskrawych barwach.

Podajemy szereg zdjęć osób poszukiwanych przez ekspozyturę oddziału informacyjno-defenzywnego



Ze sportu zimowego: Kurs narciarski P. T. M. Zjazd prosty.

w Złoczowie, za morderstwa i współudział w zbrodniach dokonywanych za czasów inwazyi ukraińskiej w Złoczowie.



Zbrodniarze złoczowscy: Poszukiwani przez Eks. Oddziału Inf. defenz. 1) gr. kat. ks. Juryk, 2) major Ciokan, 3) kapitan Żmur, 4) por. dr. Wanio, 5) kapitan Feszczur, 6) major Łeszczyj, 7) por. Wowk, 8) Malinowski, 9) Dackiw, 10) chorąży Bilacz, 11) kapitan Janowicz, 12) kapitan Grebenz (niemiec), 13) inż. por. Führer (niemiec), 14) Kraus, 15) Sirko, 16) por. Olszaniecki, 17) kapitan Pawluk, 18) Parnes (żyd), 19) Dolnicki.

TADEUSZ KANNENBERG.

RÓŻYCZKA.

Panna Różyczka była znudzoną i znużoną. Nie tyle życiem, którego goryczy prawdopodobnie nie wiele zaznała, ile raczej przeżyciem wszystkich, nawet i tych najfiglarniejszych chwil misternego konwenansu, wśród którego żyła. Nie trzeba bowiem zapominać, że była młodą i delikatnie chowaną panną na wydaniu.

— Mamo, nudzę się śmiertelnie! Jakby tak dłużej, to zobaczy mama, że sobie „coś“ zrobię — rzekła Różyczka do matki w dniu swych imienin popołudniu, rzucając się pełnym wdzięku ruchem na wygodną kanapkę w swoim panieńskim pokoiku.

— O ja nieszczęśliwa! Takaż to pociecha z dorodnej córki w domu! Zamiast sobie „coś“ zrobić, już raz wyszukaj sobie męża! — Wyrzucając z siebie gromko tę słuszną zresztą radę, postawiła mama filiżaneczkę czarnej kawy na stoliczku przed kanapką i energicznie wyszła z buduaru, tchnącego zapachem storczyków.

Godzina popołudniowa, deszcz ze śniegiem i wiatr nastrajają każdego do rozkosznego dolce farniente. Tak też uczyniła i Różyczka.

— Wyszukaj sobie męża! — Łatwe to w brzmieniu, lecz o ileż trudniejsze w przeprowadzeniu. Dla Różyczki to „wielka sprawa“, a tej nie chciała i nie mogła załatwić „od ręki“.

Nie, nie, teego szaleństwa nie zrobi nigdy!

Czyż może inaczej?

Wielkie, czarne oczka zasłoniły się leniwo opadającymi powiekami o długich firankach rzęs.

Oto przed trzema laty! Pamięta, była na wakacyach u cioci Bronci, w małem miasteczku, w cudownej okolicy.

Nudziła się, lecz nie nazbyt, spacery były tak miłe!

Raz poznała go, naturalnie przypadkiem, wówczas, gdy się tak strasznie przestraszyła... krów, co przerażone przejeżdżającym autem, podniosły ogony do znacznej wysokości i pędziły przed siebie, nie zważając na przechodniów. On ją uratował...

Odtąd spotykali się przypadkiem codziennie. Ona słuchała go chętnie jak opowiadał o sobie, o pogoni za chlebem, jak otrzymał posadę inżyniera i jak mimo wszystko czuje się dziś osamotniony, wreszcie jakby pragnął założyć własne ognisko domowe.

Był wcale sympatycznej powierzchowności, tylko tak mało było w nim poezyi. Był nawet bardzo miły, lecz tylko w miasteczku, w cudownej okolicy.

Po dwudziestym dziewiątym spacerze poprosił ciocię Broncię o pozwolenie oświadczenia się o rączkę Różyczki.

Krótki liścik wyjaśnił temu panu pomyłkę. Chętnie słuchać, to jeszcze nie kochać.

Czyż można było inaczej?

Oto przed trzema laty! Pamięta — była przecudowna zima. Sniegu nie wiele, ale zato przepyszna ślizgawka. Różyczka uczyła się z zapałem zdrowego sportu łyżwiarskiego. Raz na lodzie upadła. Jeden z młodzieży, który ślicznie się ślizgał, rzucił się na pomoc, podniósł Różyczkę i odprowadził do ławeczki.

— Jeszcze o jedną malutką przysługę poproszę — rzekła Różyczka — Łyżwa mi się przekręciła, jeśli pan taki dobry, to proszę mi ją sprostować!

— Z miłą chęcią — odparł i wziął się do roboty, do której niejeden chłopiec czasu zimy nadaremnie wzdycha. Dla ułatwienia tej mozolnej zresztą pracy, Różyczka uniosła delikatnie sumienkę, okazując wysoki bucik i pończoszkę czarną nad bucikiem. Łyżwa nie chciała się sprostować. Towarzyszki młodzieńca po chwili bezskutecznego czekania, zeszły ze ślizgawki.

— Przez panią pozostałem sam na lodzie, wobec tego pozwoli pani, że będę ją uczył łyżwiarskiego kunsztu, w którym jestem dość biegły.

I tak zaczęły się codzienne niemal lekcye. Nauka postępowała szybko. Pan Karol był taki miły, przystojny, tak pięknie opowiadał o poezyi, o kobiecie i o miłości...

Cóż, kiedy miał tylko jedno marynarkowe ubranie, jedną czerwoną krawatkę i był dopiero kandydatem, zdolnym do objęcia wszystkich zresztą posad.

Zima się skończyła. Mama kilka razy powiedziała panu Karolowi, że Różyczki nie ma w domu, a na ulicy nie mogli się czegoś nigdy spotkać.

Czyż można było inaczej?

A oto przed rokiem! Pamięta była z mamą nad morzem. Boże, co to za rozkosz dla pięknie zbudowanej kobiety wyjechać z polecenia lekarza nad morze dla poratowania zdrowia i wypoczynku.

Różyczka miała prześliczny kostym kąpielowy, czarny, obcisły, z wąskiemi czerwonemi wypustkami. A jaka czapeczka! Ludzie się oglądali. Nie oglądał się tylko jeden pan, pomimo, że właśnie jego tylko wzroku Różyczka pragnęła. Kokietowała go, bo wart był tego. Piękny typ męski, ogorzał od słońca, wyglądał jak posąg ze spiżu ulany. I dlaczego nie zwracał najmniejszej uwagi na postać Różyczki? To niesłusznie i niegrzecznie, to irytujące wreszcie!

Kilka razy z tego powodu Różyczka niemal z płaczem wracała do kabiny.

Tak trwało długich dziesięć dni. Nareszcie zdawało się Różyczce, że się raz oglądnął właśnie w chwili, gdy siedząc na piasku, zdjęła pończoszkę, by gołą nóżkę w piasku zakopać. Nawet się uśmiechnął, lecz trwało to taką sekundę, że nie miała żadnej pewności. A o tę pewność tak Różyczce chodziło, niemal modliła się o to, by choć raz spojrzał w jej kierunku. Niestety znowu przez cały tydzień nie zwracał na nią uwagi, choć miała chwile prawdziwie urocze i nęcące każdego, kto nie miał serca z kamienia.

Była piękna, ciepła noc księżycowa. Morze białemi grzywkami pianki kładło się rytnicznie z fali na falę, połyskując wodą w srebrzystem świetle modremi łuskami nieskończonego potwora. Muzyka grała sentymentalne walce, a tłum gości używał nocnego spaceru nad plażą.

Nagle Różyczkę przeszedł dziwny dreszcz, ujrzała go obok patrzącego w nią magnetycznie.

— Proszę panią na krótką przejażdżkę żaglowcem po szlaku księżycowym. Czekam przy stopniach.

— Co za impertynent — pomyślała Różyczka i niespostrzeżenie wymknęła się mamie wśród tłumu, zdążając ku stopniom. — Co on sobie myśli? Wszystko jedno, musi go poznać.

— Jestem, panie! — drżała nerwowo jak w febrze.

— Dziękuję — podał jej rękę. Wskoczyli do małej barki żaglowej i przy delikatnym wietrzyku pomknęli w niezbadaną dal, płynęli środkiem srebrnego blasku księżyca.

— Płyniemy oboje w nieznane przestrzenie, może aż do wrót księżycowego pałacu?...

— Kto pan?

— Człowiek, a pani kobieta. Czy to nie dość dla nas, że niezwyciężona moc, której ani ja, ani pani oprzeć się nie potrafimy, pociąga nas ku sobie? Ciągnie i zmusza byśmy we dwoje zaznali rozkoszy prawdziwego życia...

Różyczka drżąc na całem ciele z trwogi i niewkreślonego lęku, ukryła twarzyczkę w swe miękkie dłonie, a on zaczął melodyjnym głosem śpiewać przecudną aryę z Halki. Ta cudna taka swojska melodya na dalekiej obczyźnie — wśród obcych — wytworzyła nastrój nie dający się wprost opisać. Skończył.

— Przedstawiłem się pani, czy wystarczy?

— Tak. — szeptem odpowiedziała i nagle uczuła się porwaną w silne ramiona, usta złączyły się z ustami w niekończącym się pocałunku.

Jak długo płynęli, nie wie. Czy mówili ze sobą, nie pamięta. Wiedziała tylko, że kocha, kocha po raz pierwszy w życiu.

Nazajutrz rano pobiegła nad morze.

Niestety, nie przyszedł. I tak minęło rozpaczliwych dwa tygodnie. Wszelki ślad o nim zaginął. Nie mogła sobie darować, że go nie spytała o imię, adres — o wszystko, wszystko.

Zapóźno.

Płakała, bo kochała.

Czyż mogła inaczej?

I oto dziś, po roku, na życzenie mamy, ma wysłuchać oświadczyn pana Stefana, wdowca z jednem dzieckiem.

Zerwała się z kanapki. Pan Stefan stanął w drzwiach.

— Czy zechcesz pani być mi towarzyszką w życiu i matką dla mego synka? Wierz pani, że ją kocham i głęboko szanuję. Podaj mi pani swą rączkę na znak zgody.

Podała rękę — on ucałował ją gorąco, potem weszła mama, pobłogosławiła, poprosiła na kawę do jadalni i... już po wszystkiem.

— Więc tak wygląda prawda w życiu?

Nie mogła wytrzymać i szybko wymknęła się na ulicę.

— Boże! Rok temu, a dziś — cóż za różnica!

Nagle ktoś ją zaczepił — spojrzała — to posługacz publiczny z listem. Zdumiona zrywa kopertę.

— W pierwszą rocznicę wycieczki po księżycowym szlaku, zapraszam panią na swą tarasę nad Wisłą. Noc podobna tamtej. Czekam o ósmej.

— Impertynent, nikczemnik, nienawidzę go!

Z temi słowami wpadła Różyczka z powrotem do domu.

— Mamo, dziś wieczór idę do teatru.

— Co grają?

— „Silna kobieta“. Pójdę sama — wrócę wczas.

I poszła do teatru. Jak to się stało, że po drodze zbłądziła, tego nie pamięta, dość, że o ósmej stanęła u niego — na tarasie nad Wisłą.

— Wiedziałem, że pani przyjdzie! Poprosiłem panią, by wyjawić jej moją tajemnicę, która mi żyć nie daje — dla której włóczę się bez celu po szerokim świecie. Wyznam ją pani, może to mnie uspokoi i sił doda. Męczę się i cierpię, jak nikt na świecie. Dwa lata temu „Ona“ była tu, na tej tarasie — o tej samej godzinie i tego samego dnia. Wieczór był, jak dziś. Była to pani podobna. Kochałem ją i pragnąłem wyjawić jej moją „wielką tajemnicę“, jak dziś chcę to uczynić. Gdy zacząłem mówić, „Ona“ parsknęła śmiechem, mówiąc: „waryat“.

Powiedziała żem waryat, mnie, który przed nią wyjawiłem swą wielką tajemnicę życia, swoje najświętsze twórcze idee — mnie — mnie... Podbiegłem do niej, chwyciłem ją w pół i przez tę tu baryerę wrzuciłem do Wisły.

Różyczka drżała jak liść osiki, nie zdawała sobie już z niczego sprawy prócz tego, że musi się ratować za wszelką cenę.

Na stoliku spostrzegła długi ostry nóż do rozcinania książek — ukryła za sobą — i z rozszerzoną źrenicą czekała.

— Potem zwaryowałem rzeczywiście — odsiedziałem karę — wypuścili mnie jako nieszkodliwego — wyzdrowiałem. Rok temu studyowałem panią nad morzem — widziałem każdy ruch pani. Byłem odwrócony, ale miałem lusterko w ręku...

Różyczka zemdlała. Jak się znalazła w domu — nie pamięta.

W kilka dni potem, zwróciła pierścionek panu Stefanowi.

Czyż mogła inaczej?

— — — — — — — — — — — — — —

I oto teraz Różyczka jest starą panną!

Od Redakcyi.

Zwracamy uwagę P. T. Czytelników, że jedynie ci są uprawnieni do ubiegania się o nagrody, którzy nadeślą rozwiązania **wszystkich** zagadek.

Zagadki do nagrody.

Trójkąt magiczny.

Ułożył G. Gajewski, Tarnopol.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami, aby p wstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy nazwę jednego z naszych polityków.

■ ■ ■ ■ ■ ■ ■
■ — — — — —
■ — — — —
■ — — —
■ — —
■ —
■

Znaczenie wyrazów: 1) Szukany wyraz. 2) Miasto w Polsce. 3) Płyn gorący. 4) Rzeka na Syberyi. 5) Herb polski. 6) Przyimek. 7) Samogłoska.

Zadanie na rozsypane litery.

Ułożył H. B., Kraków.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

a, c, d, e, i, j, k, ł, n, p, r, s, y, y, z, z.

Kwadrat magiczny.

Ułożył J. Jaworski, Kraków.

Z podanych liter ułożyć cztery wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

a	i	i	k
k	n	n	n
n	o	o	o
t	x	y	y

Znaczenie wyrazów: 1) Część budynku. 2) Postać biblijna. 3) Inaczej śruby przytrzymujące. 4) Minerał.

Zadanie do uzupełnienia.

Ułożył J. Wieczyński, Kraków.

Przez dodanie odpowiednich spółgłosek ułożyć znane polskie przysłowie:

O - ie - a - - a - - o - u - - - ie - - e - e - o - - o - o.

Okienko.

Ułożył X. Y., Kraków.

Z podanych liter ułożyć trzy wyrazy równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

a	a	a	a	a
a		d		e
e	e	e	k	k
k		n		o
o	p	r	s	s

Znaczenie wyrazów: 1) Polski pamiętnikarz. 2) Miejscowość we Francyi, pamiętna bitwą w r. 1871. 3) Część drzewa.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył J. Jaworski, Lwów.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Kąt! Tu łąka ceni szum!

Grzebieniówka.

Ułożył S. Malinowski, Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby w szeregach pionowych powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd poziomy utworzy nazwisko głośnego obecnie Włocha.

■ ■ ■ ■ . ■ ■ ■ ■
— — — — —
— — — — —

Znaczenie wyrazów: 1) Miejscowość klimatyczna w Galicyi wschodniej. 2) Część ciała. 3) Pasmo górskie. 4) Litera grecka. 5) Gatunek psa.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania dwie nagrody: 1) W. Przyborowskiego „Czerwona mara" (powieść) 2) paczkę papieru listowego (25 arkuszy i tyleż kopert).

Rozwiązanie zagadek z Nru 1.

Łamigłówka. Giaur, Arčo, Bytom, Yozk, Dawid, Ezop, Sokół, lord, ygrek, Sola.

Trójkąt magiczny. Listopad, Indianin, sobota, Topór, opal, Pad, as, d.

Zagadka.

Tam pod bramą siedzi pies
I podniósł do góry *„en-o-es"*.

Grzebieniówka. Ghika, a, rabin, i, Brody, a, Lupin, d, indyk.

Okienko. Etyka, ygrek, alkad.

Dobre rozwiązania nadesłali pp.: M. Malicki Sędziszów, J. Federowicz Tarnopol, K. Balic i Lwów, S. Topolnicki Ostrów, K. Kamocki Lwów, J. Kamiński Kraków, K. Ogonek Rzeszów, J. Czermak Kraków, S. Ogibiński Wadowice, H. Rosenbaum Rzeszów, K. Lipski Wiedeń, M. Ostrowska Kraków, J. Ząbek Sandomierz, K. Opolski Jasło, S. Jaworski Lwów, M. Kamiński Sambor, K. Zagórski Zakopane, M. Kołodziejska Zamość, Z. Kalinowski Łódź, M. Więckowski Poznań, M. Zak Wadowice, L. Decowski Jasło, S. Samlicki Kraków, L. Pick Lwów, S. Konarski T. Lasoń Warszawa, H. Bandrowski Piotrków, M. Kwaśniewska Częstochowa, J. Nowicki Lwów, K. Bielawski Jasło, W. Raczyński Skierniewice, H. Malinowski Lwów, T. Dutkiewicz Dębica, W. Gajewski Kraków, J. Barański Lwów, H Obst Lwów, M. Spitz Wiedeń, K. Ryglicki Lwów, J. Norek Tarnopol, T. Nikiel Kraków, M. Piekarz Lwów, A. Gross Podgórze, W. Bogusz Oświęcim, T. Popiel Kraków, S. Jasiński Radom, S. Krzyżanowski Podgórze, H. Borkowski Jasło, W. Bobrowski Sambor, R. Kinalski Krosno, D. Łopatyński Sambor, M. Drzewicki Rzeszów, J. Pietruszka Poznań, K. Galiński Mielec, H. Zielińska Kolbuszowa, J. Bielczyk Kraków, M. Blachcicka Częstochowa, F. Kajfasz Kraków, E. Szelążkiewicz Kraków, L. Kapitaniak Kalisz, J. Misiewiczowa Piątkowa, W. Szczudłowski Jarosław, H. Wereszczyński Lwów, C. Górny Limanowa. S. Mackiewicz Zamość, T. Karpiński Tarnów, M. Wojas Kraków, H. Kodlewicz Nowy Sącz, L. Wiśniowski Sanok, W. Perlberger Chrzanów

Nagrodę przez losowanie otrzymali: 1) J. Bielczyk Kraków (książka) 2) M. Piskorz Lwów (papier listowy). Upraszamy o nadesłanie 75 hal. na koszta poleconej przesyłki nagrody.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina pod zarządem Stefana Karczmarskiego.